

„Jestem z natury dziewczyną o tzw. twardym sercu, trudno wzruszyć mnie, lub doprowadzić do płaczu. Jedynie Ryszarda Hanin w „Matce” zdołała to uczynić. W ciągu moich 17 lat nikt nie wzbudził we mnie tak gwałtownych uczuć.”

(Iwona Chruszczyńska — Warszawa)

„O Annie Magnani powiedziano, że jest aktorką, która nie wstydzi się być brzydką. Pani Hanin jest piękna nawet wtedy, gdy jest brzydka — po prostu jest wewnętrznie piękna. Ona nie gra, jest tym, kogo nam przedstawia”.

(Barbara Michalska — Przedburz)

Listy widzów z różnych stron kraju, przesłane do redakcji RTV po przedstawieniu „Matki” Capka mówią same za siebie. Od czego więc zacząć wywiad z Ryszardą Hanin? Od roli matki, która uznana została w plebiscycie widzów za telewizyjną kreację roku. I nie tylko od tej jednej roli. Grała przecież Matkę w sztuce Brechta pod tym tytułem, w „Niespodziance” Roztworowskiego, w „Mieszczanach” Gorkiego, w „Pamiętniku Anny Frank”. Więc zaczynam banalnie od pytania o rolę matek — najtrudniej bowiem zacząć — choć aktorka wita mnie w samej garderobie w Teatrze Dramatycznym szerokim, serdecznym uśmiechem. I nie daje poznać po

prostu nie przyjmować propozycji.

— Reprezentuje Pani w aktorstwie polskim nurt, który najbardziej bliski jest właśnie w telewizji. Mam na myśli niezwykle prostotę, rzekłabym „niedostrzegalność” środków wyrazu.

— Telewizja ma dla mnie osobliście tę dodatnią stronę, że spotykam się tu z interesującymi propozycjami, a także z tym rodzajem oddźwięku publiczności, sprowadzającym się do listów z prośbą o autograf czy zdjęcie. Otrzymuję listy będące często — trochę wnikliwą analizą roli, rodzajem recenzji. Są też listy wzruszające, w których ludzie zwracają się do mnie jako do postaci z oglądanej sfery, mówią o swych sprawach, radzą się. Mówi pani, że TV wymaga od aktora prostoty, oszczędności środków wyrazu. Każdy gatunek dramatyczny i w telewizji ma inne wymagania. W „Kobrze” np. nie można bawić się w psychologiczne cienkości. Lubię sprawdzać siebie w każdej nowej postacie, ale najlepiej czuję się w repertuarze psychologicznym.

— W repertuarze dramatycznym stworzyła Pani swe największe kreacje, choć w rolach charakterystycznych i komediowych, a nawet w „Kobrze” jest Pani równie popularna i lubiana. Niedawno siegaszając kapitałowi była Pani gospią Pelasją w sztuce Różewicza „Na czworakach”. Ale prawdziwym zaskoczeniem była dla mnie Pani w „Czarnej komedii” Schaffera w roli Miss Furnival, Rola farsowa, oparta wyłącznie na gestach — nie przypuszczałam, że i taka mieści się w Pani emploi.



Fot. Zofia Nasierowska

Aktor nie ma prawa być pokornym, nie może zakreślać granicy swoich możliwości, musi ciągle — nawet za cenę pomyłek i porażek — walczyć o przeskoczenie pułapu, inaczej grozi mu zasklepienie, powielanie siebie, a w konsekwencji hołdowanie swym wyobrażeniom o sobie, pójdzie na lep sympatii widzów. A to najbardziej niebezpieczne, bo jest to zaprzeczenie własnego aktorskiego „ja”. Wtedy stajemy w miejscu, to znaczy cofamy się.

— Dotknęła Pani zagadnienia: aktor i czas. Myślę, że aktorstwo to jeden z tych pięknych zawodów, w których czas pracuje na korzyść aktora, wzbogaca go, poszerza skalę doświadczeń.

— Aktorstwo kobiet dojrziałych — to wielkie osiągnięcie naszych czasów. Kiedyś najzdolniejsze grały śliczne młode amantki, a po trzydziście wychodziły za mąż i rzuciły karierę. Nie chciały pokazywać twarzy. Tak, czas i wiek okrutny dla nas, wzbogaca nasze aktorstwo nie tylko technicznie, ale i inne widzenie świata. Uważam, że stanowczo za mało jest we współczesnej dramaturgii światowej ról dla starszego pokolenia. Obec-

nie stać mnie na pełny ekshibicjonalizm — w życiu nie.

— W sztuce unika Pani powielania siebie, a w życiu?

— Czas, doświadczenie życiowe chroni nas przed powielaniem. Bo o ile w teatrze powielanie jest smutne, w życiu — śmieszne.

— Czasem żalossne.

— A to co śmieszne, czy nie jest żalossne?

— Co w życiu ma znaczenie?

— Myślę, że najważniejsze — czuć się potrzebną. Nie w sensie sławy, popularności. Jeden realizuje tę potrzebę prywatnie, jako człowiek, drugi poprzez wykonywany zawód. To nadaje sens naszemu życiu. Bo jaki może być inny, kiedy się codziennie rano wstaje by wykonywać te same obowiązki? W gruncie rzeczy konsumpcyjny tryb życia, nawet gdyby chodziło o tak szlachetną czynność jak percepcowanie sztuki — to tylko zabijanie czasu, czczość i pustka.

— A konieczność wypowiedzenia siebie, która tak nurtuje artystów?

— To, moim zdaniem, tylko wyższa forma podskórnej megalomanii. Ja przecież nie mówię o konieczności bycia potrzebnym w sensie charytatywnym, czy altruistycznym. Nazwałabym to raczej formą egoizmu, wysublimowaną przez tkwiące w nas pokłady kultury. Bo być potrzebnym — najbardziej potrzebne jest nam samym. A wracając do pierwszego Pani pytania o te matki, to powiem Pani szczerze, pomyślałam sobie: jak to dobrze, że chociaż o wojsko Pani nie pyta.

— Prawda, byłabym zapomniąta — żartuję — Pani pierwsze kontakty ze sceną to występ w teatrze żołnierskim, zorganizowanym w 1943 r. w Stalcach. Może na ten temat „słów kilka”?

— Wszędzie pytają mnie albo o wojsko, albo o rolę matek. Byłam np. niedawno na festiwalu w NRD. Duża pompa, bardzo uroczyste. Pytania w dyskusji ogromnie zasadnicze. Wstaje np. młoda osobka i cała na bacność, z ogromnym przejęciem pyta: — Pani stale gra rolę matek, czy Pani lubi je grać? — Dziecko, a co mam grać — zawołałam rozkładając ręce. Cała sala w śmiech. W ten sposób przysł uroczysty nastrój, zaczęła się bezpośrednia rozmowa.

Rozmawiała:

KRYSTYNA STARCZAK

NIE POWIELAĆ SIEBIE

Rozmowa z RYSZARDĄ HANIN

sobie, że to pytanie zadawane na pewno wielokrotnie, może zdążyła już znurzyć.

— Matka — to najbardziej biologiczny, emocjonalny związek między człowiekiem a człowiekiem. Tak się jakoś składa, że gdy gram kobietę w moim wieku, przeważnie jest ona matką. Nie ma reszta roli matki jako takiej. To znak teatralny nośny w różne znaczenia, bogaty w konflikty. Każda z granych przeze mnie matek była innym człowiekiem. Były to role zupełnie różne. Gdy są podobne, gdy wiem, że nie mam nic nowego do dodania — staram się po

— Grałam sporo komediowych ról charakterystycznych w oparciu o bazę psychologiczną. W czystej farsie wystąpiłam po raz pierwszy w „Czarnej komedii”. Byłam przekonana, że się nie nadaję, nie miałam zaufania do swej *vis comica* i po prostu trochę się bałam. Zostałam jednak niemal zmuszona przez dyrektora do zagrania tej roli i nie żałuję. Czasem trzeba rzucić się na „głęboką wodę”. Musimy stale dążyć do poszerzenia swego emploi. Nieodzowne jest ciągle podejmowanie ryzyka zarówno ze strony aktora, jak i reżysera w stosunku do aktora.